

Temat Tygodnia

- 12 Marek Ostrowski
Adam Szostkiewicz
**Brexit: wielka decyzja
Wielkiej Brytanii**

Polityka

- 16 Krzysztof Burnetko
**Jak Jarosław podważa
dziedzictwo Lecha**
- 19 Jacek Żakowski
**Rządzenie
przez dzielenie**
- 22 Malwina Dziedzic
**Magdalena Ogórek:
teraz lwica prawicy?**
- 26 Piotr Pytlakowski
**Prokuratorzy:
oddani i oddaleni**
- 29 Violetta Krasnowska
Polska na podśluchu

Rozmowy
Żakowskiego

- 32 Sir **Robert Skidelsky**,
historyk ekonomii,
o dawnych faszystach
i dzisiejszych populistach

Społeczeństwo

- 35 Agnieszka Sowa
**Psychiatria
potrzebuje terapii**
- 38 Marcin Kołodziejczyk
**Znikający Mężczyzna
na Wózku...**

Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Strach dusi turystykę
- 43 Łukasz Wójcik
**Alicja w krainie ujemnych
stóp procentowych**

Świat

- 46 Jędrzej Winiecki CHINY
Pomysł na Europę
- 49 Justyna Prus ROSJA
**Gorbaczow
– dyżurny winowajca**
- 52 Rozmowa z **Boualemem
Sansalem**, pisarzem
algierskim, o groźnej
dyktaturze religijnej



12

Brexit: referendum głupich kroków



22

Wolta Magdaleny Ogórek



26

Ciężkie czasy dla prokuratorów



46

Wejście wujka Xi

Historia

- 54 Piotr Grzelczak
**Poznań 1956:
spontaniczny bunt**
- 58 Paweł Sasanka
**Radom 1976:
kryzys kontrolowany**

Nauka

- 62 Tomasz Targański
**Dlaczego muzułmanie
odrzucają druk?**
- 66 Paweł Walewski
Starcie z rakiem stercza
- 68 Marcin Rotkiewicz
Wyznania Dawkinsa

Kultura

- 74 Bartek Koziczynski
**Fenomen Red Hot
Chili Peppers**
- 78 Rozmowa z dokumentalistą
Piotrem Stasikiem, autorem
„21 x Nowy Jork”, o polskim
wpiekle i końcu świata
- 81 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
- 82 Tomasz Walat **Tajemnica
szwedzkich kryminalistów**
- 84 Sebastian Frąckiewicz
**Niezwykłe komiksy
o Puszczy Białowieskiej**
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i Style

- 88 Ilona Wiśniewska
Duński patrol na Grenlandii
- 92 Marcin Piątek
Euro: futbol wciąż na nowo

Na Własne Oczy

- 100 Jerzy Danilewicz
fotografie Filip Cwik
Polacy z Wołynia

Stałe Rubryki

- 4 Mleczek i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 94 Passent
- 96 Hartman
- 97 Tym • 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Ciężki dzień uchodźcy

Obchodzony 20 czerwca Światowy Dzień Uchodźcy jest okazją do podsumowania wzajemnych relacji Polski i uchodźców. Trzeba przyznać, że są to relacje oparte na wzajemnym szacunku i zrozumieniu. Polska szanuje uchodźców, którzy toną w Morzu Śródziemnym lub żyją w utworzonych dla nich obozach w Turcji, i rozumie, że nie jest im tam łatwo. W zamian Polska wymaga, aby ci uchodźcy zrozumieli i uszanowali stanowisko Polski i Polaków, zgodnie z którym nie są w Polsce mile widziani z powodu swojej religii, swoich obyczajów, a także swoich pasożytów i pierwotniaków. Bolesnym ciosem w przyjazne relacje Polski z uchodźcami była obietnica rządu PO-PSL dotycząca przyjęcia w ciągu dwóch lat ponad 6 tys. uchodźców przebywających w obozach we Włoszech i w Grecji. Normalność w relacjach z uchodźcami zdołał przywrócić dopiero rząd Beaty Szydło, który zrobił, co mógł, żeby tej obietnicy nie dotrzymać. I chociaż w styczniu MSWiA wydało rozporządzenie przewidujące przyjęcie w 2016 r. maksymalnie 400 uchodźców, to dzięki ofiarności służb państwowych zaangażowanych w pomoc uchodźcom do tej pory do Polski nie przybył ani jeden. Miesiąc temu służby włoskie i greckie musiały anulować wnioski pierwszych 100 uchodźców, gdyż polskim służbom nie

udało się przeprowadzić ich weryfikacji. Polskie służby zapowiadają, że jeśli nie wystąpią nieprzewidziane trudności, to nie uda im się przeprowadzić także weryfikacji pozostałych uchodźców. Szalenie ważną kwestią jest integracja tych uchodźców, którzy jakimś cudem zdołają do nas przybyć, ale z różnych powodów nie zdołają od nas możliwie szybko wyjechać do Niemiec. Na pytanie, jak tych pechowców integrować, rząd i wielu Polaków odpowiada jasno, że wszystko jedno jak, byle z tą integracją nie przesadzić. Na szczęście bardzo pomocne w tej sprawie są rządowe programy integracyjne wymyślone w taki sposób, żeby niebezpieczeństwo integracji w zasadzie nie zachodziło.

Przeczytałem, że poważnym mankamentem w relacjach Polski z uchodźcami jest to, że po zakończeniu programów integracyjnych nikt losów uchodźców nie monitoruje. Osobiście uważam, że brak monitoringu świadczy o lekceważeniu uchodźców i traktowaniu ich w sposób niepoważny. Dlatego dobrze, że obecny rząd jest za dynamicznym rozwojem monitoringu w każdej technicznie możliwej formie. I to nie tylko wobec uchodźców, ale również wobec osób, które mają z uchodźcami kontakt, osób, które deklarują pomoc uchodźcom, osób, które wyrażają się pochlebnie o uchodźcach lub wyrażają chęć przyjęcia uchodźców, jak również wobec wszystkich osób, które z uchodźcami się nie kontaktują i się na ich temat nie wypowiadają, ale nie zgadzają się z polityką obecnego rządu w sprawie uchodźców lub w innych sprawach.



Znamy się dobrze...

GRUPA
psb

**POLSKIE SKŁADY
BUDOWLANE**

GRUPA
psb

PROFI



Doradcy Polskich Składow Budowlanych polecają:

**Mistrzowskie produkty
chemii budowlanej**

Sopro



www.sopro.pl



Przed decyzją o zakupie sprawdź dostępność produktu w wybranym składzie budowlanym. Lista składów - na stronie www.grupapsb.com.pl

Aplikacja mobilna Grupy PSB. Dostęp do aktualnych promocji produktowych w sieci sklepów PSB-Mrówka. Baza produktów, liczne porady, wytyczne i instrukcje z sieci PSB. Sprawdź!



Dwa końce kija



Jerzy Baczynski

Brytyjskie referendum 23 czerwca to jedno z najważniejszych wydarzeń tego roku. Już samo referendum, bez względu na wynik, uruchomiło po obu stronach kanału La Manche procesy polityczne i psychologiczne, których nie wyłączy nawet wygrana zwolenników Brexitu, czyli pozostania Zjednoczonego Królestwa w Unii. Jeśliby zaś zdarzył się Brexit – co według skołowanych brytyjskich bukmacherów wciąż jest bardzo prawdopodobne – kawał naszego świata trzeba by poukładać od nowa. Polska, ze swoją coraz słabszą pozycją w Unii, byłaby, niestety, wśród układanych, a nie układających.

Zdawałoby się, że politycy i publicyści naszej prawicy powinni modlić się o zwycięstwo Brexitu. Chodzi nie tylko o losy miliona Polaków już przebywających na Wyspach, bardzo niepewne w przypadku Brexitu, zamknięcie brytyjskiego rynku pracy dla kolejnych imigrantów z Polski czy też rewizję unijnego budżetu po utracie brytyjskiej składki. Niepokojące dla PiS powinno być naturalne wzmocnienie pozycji Niemiec w kontynentalnej Unii po ewentualnym Brexicie. Zwłaszcza że według geostrategicznych myśli prezesa to Wielka Brytania miała być głównym sojusznikiem Polski – zdaje się, że na złość Niemcom (zapewne sami Brytyjczycy nie byli świadomi tego wyróżnienia). Przy ewentualnym odpłynięciu Wysp w świat cała misterna konstrukcja pisowskiej polityki zagranicznej znalazłaby się w ruinie.

Oficjalnie rząd jest oczywiście za pozostaniem Wielkiej Brytanii w Unii, ale pogląd ten wypowiada półgębkiem. Jeśli się słucha i czyta, co pisowskiej braci gra w duszy, to nie ulega wątpliwości, że zazdroszczą Anglikom możliwości Brexitu. Nie przypadkiem partia PiS w Parlamencie Europejskim znajduje się w jednej frakcji (Konserwatystów i Reformatorów) z brytyjskimi konserwatystami Camerona, wśród których aż połowa, nawet wbrew własnemu premierowi, opowiada się za wyjściem z Unii. Nie przypadkiem to brytyjscy nacjonaliści, ze skrajnie antyunijnego ruchu Nigela Farage'a, bronili Beaty Szydło i „polskiej suwerenności” podczas pamiętnej debaty w PE. Radość z choćby częściowego rozpadu „eurokołchozu” aż kipi na prawicowych forach.

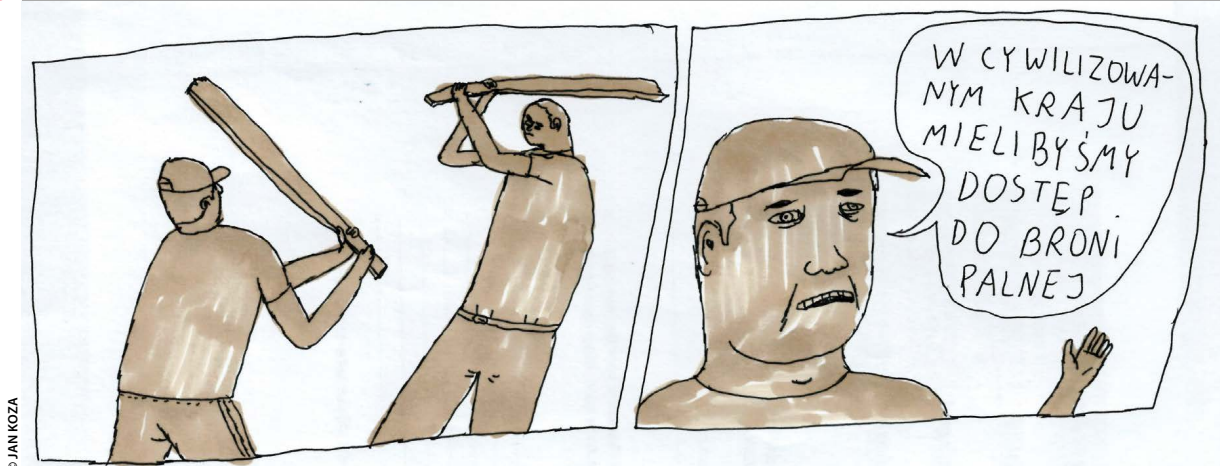
Paradoks tego emocjonalnego zaplątania polega na tym, że większość argumentów używanych w brytyjskiej debacie przez exitowców jest jakby lustrzanym odbiciem naszych argumentów przeciwko inwazji „ciapatych”; tyle że w roli „ciapatych” występują Polacy. Jeśli głównym argumentem za exitem jest wola zahamowania napływu na Wyspy imigrantów, którzy „odbierają naszym pracę, zmieniają nasze obyczaje i zagrażają bezpieczeństwu”, to pierwszym adresatem tej niechęci są legalni przybysze z nowych krajów Unii, w tym zwłaszcza my.

W kampanii przedreferendalnej, zwłaszcza w tabloidach, roilo się od opowieści o Polakach naciągających angielski system opieki społecznej; przypomniano także, że to Polacy są najliczniejszą grupą cudzoziemców przebywających w brytyjskich więzieniach. Jeśli zwolennicy Brexitu wypominają, że UK jest płatnikiem netto do budżetu Unii i że dopłaca do różnych „darmozjadów” i ich dzieci, to my jako największy beneficjent unijnych funduszy jesteśmy darmozjadem nr 1. Jeśli exitowcy powtarzają, jak nasza prawica, że najważniejsza jest suwerenność, a unijna biurokracja narusza często nasze narodowe interesy, to dobrze byłoby sobie uświadomić, że faktycznie unijne mechanizmy na ogół chronią mniejszych przed dużymi (aż po przywilej liberum veto).

Brytyjczycy zapewne jakoś by sobie poza Unią poradziili, choć wiele prognoz jest dla Zjednoczonego Królestwa zagrażających, od groźby rozpadu państwa aż po utratę 5 proc. brytyjskiego PKB tylko w okresie negocjacji warunków wyjścia. Ale UK wciąż ma jedną z najpotężniejszych gospodarek świata, ma oparcie w rozległej brytyjskiej Wspólnocie Narodów, londyńskim City, globalnym języku i niezwykle wpływowej kulturze (czytaj s. 12). Dla Polski, która dopiero co przystąpiła do Zachodu i korzysta z hojnych funduszy pomocowych oraz gwarancji bezpieczeństwa, kibicowanie Brexicowi i snucie marzeń o Europie suwerennych ojczyzn, pilnujących przede wszystkim własnego narodowego interesu, jest historyczną i geopolityczną durnotą.

Brytyjska debata przed referendum jest dla nas niezwykle pouczająca. To eksperyment, który pokazuje, jak bardzo narodo-owa, patriotyczna, godnościowa retoryka jest odwracalna, jak nasza pałka szykowana przeciw obcym i darmozjadam w cudzych rękach może obrócić się przeciw nam. Unia Europejska ma mnóstwo wad i słabości, ale odpowiedzią na większość wstrząsających ją kryzysów (od kryzysu zadłużenia, przez klimatyczny, po imigracyjny) jest raczej więcej niż mniej Unii; lepsza koordynacja i współpraca niż rywalizacja egoizmów. Rozpad Unii, czego początkiem według nadziei eurosceptyków miałby być Brexit, mógłby nasz kontynent zamienić w zbieraninę umalowanych w narodowe barwy kiboli wygrażających sobie pałkami. Na razie widzimy te grupki pod stadionami Euro. Naprawdę chcemy, by to oni byli zwiastunami przyszłości?

Jan Koza



Uśmiech historii

Dla zwolenników obniżenia wieku emerytalnego przykład **Mariana Turskiego** może być bardzo kłopotliwy. Marian kończy 90 lat, a nadal z wielką energią i fenomenalną znajomością rzeczy szefuje działowi historycznemu POLITYKI. Pełni tę funkcję niemal od początku istnienia pisma, które w przyszłym roku będzie obchodzić swój jubileusz 60-lecia. Polityka historyczna redaktora Turskiego, prowadzona przez tyle lat i tyle dziejowych zakrętów, pozostawała zawsze taka sama: zapewnić kontakt z historią żywą, szukać spraw trudnych, kontrowersyjnych, ciekawych, powierzać ich wyjaśnianie najwybitniejszym specjalistom, szukać racji z pasją, ale bez uprzedzeń. Osobną zasługą jubilata jest prowadzony niemal od początku dziejów pisma konkurs historyczny, w którym nagradza się co roku najwybitniejsze książki z tej dziedziny. Marian Turski wciąż też jest jednym z najenergiczniejszych członków kolegium redakcyjnego POLITYKI, inspiratorem wielu dyskusji i podejmowanych na łamach tematów.



POLITYKA to tylko część jego pasji i zajęć. Marian Turski jest m.in. przewodniczącym Rady Muzeum Historii Żydów Polskich, ma ogromne zasługi w powstaniu tego wyjątkowego muzeum. Jest postacią znaną w świecie, za swoje osiągnięcia, prócz Orderu Odrodzenia Polski, został uhonorowany m.in. niemieckim Wielkim Krzyżem Zasługi i francuską Legią Honorową.

Związki Mariana Turskiego z historią są tym istotniejsze, że został przez nią niezwykle ciężko doświadczony. Przeżył pobyt w łódzkim getcie, w obozach w Oświęcimiu i Buchenwaldzie. I jest coś niezwykle budującego i optymistycznego w tym, że mimo nieludzkich obciążeń losu pozostał człowiekiem niezwykle ciepłym, otwartym, serdecznym, niebywale wrażliwym na los innych ludzi. Że przez tyle lat zrobił dla ludzi i historii tyle dobrego. Historia potrafi się wściekać i robić ironiczne grymasy, ale on zasłużył niewątpliwie na jej uśmiech.

Marianowi życzymy 100 lat! Rzecz jasna od dnia jubileuszu.

REDAKCJA

Władza bojkotuje, opozycja śpi

Wątpliwe, by prezes Rzepliński przed upływem swej kadencji (21 grudnia) zdążył przewodniczyć składom TK rozpatrującym ważne ustawy.

Sprawdziliśmy, na jakim etapie postępowania w Trybunale Konstytucyjnym są zaskarżone ustawy dotyczące służby cywilnej, radiofonii i telewizji oraz prokuratury, a także przepisy o kontroli operacyjnej prowadzonej przez specusłużby oraz o stosowaniu i przedłużaniu tymczasowego aresztowania, które może się przeradzać w tzw. areszt wydobywczy. W każdej z tych spraw orzekać ma pełny (dziś) 12-osobowy skład sędziów TK z prezesem Andrzejem Rzeplińskim na czele. Sędzią sprawozdawcą w sprawie dotyczącej tymczasowych aresztowań będzie sędzia Leon Kieres, a kontroli operacyjnej – sędzia Stanisław Rymar. Przy rozpatrywaniu konstytucyjności ustawy o służbie cywilnej sprawozdawcą będzie sędzia Piotr Pszczółkowski, ustawy o radiofonii i telewizji – sędzia Marek Zubik, i ustawy prawo o prokuraturze – ponownie sędzia Pszczółkowski.

Najszybciej, już po 23 dniach od daty przyjęcia przez Sejm, opozycja zaskarżyła do TK ustawę o służbie cywilnej (wniosek złożył też rzecznik praw obywatelskich). Wnioski o rozpatrzenie ustawy medialnej i prokuratorskiej opozycyjni posłowie i senatorowie złożyli mniej więcej po upływie kwartału od ich uchwalenia. Wielu posłów alarmuje, że konstytucja jest naruszana, ale nie zawsze przekłada się to na tempo prac nad pisaniem wniosków do TK. Sprawniej robi to RPO.

W Trybunale wnioski zostały zarejestrowane, wstępnie rozpatrzone (czy spełniają kryteria), a 5 kwietnia i 10 maja

Trybunał wystąpił do uczestników postępowania (m.in.: prokuratora generalnego, Sejmu i Rady Ministrów) o odniesienie się do nich. Zgodnie z ustawą o TK odpowiedzi powinny wpłynąć najdalej po dwóch miesiącach, ale żadna nie wpłynęła. Stosunek obecnego prokuratora generalnego do TK jest znany. W tych dniach Zbigniew Ziobro wycofał nawet wniosek swego poprzednika w sprawie, w której TK miał już ogłosić wyrok, bo uznał, że TK rozpatruje ją w zbyt małym składzie!

Z odpowiadaniem na pisma Trybunału nie spieszy się też marszałek Sejmu Marek Kuchciński. Sejmowa komisja ustawodawcza, która opiniuje marszałkowi sprawy wniesione do TK, zajmuje się wnioskami z lat 2014–15. Z informacji dostępnych na sejmowej stronie WWW nie wynika, aby marszałek przekazał jej do zaopiniowania którykolwiek z omawianych tu trybunałskich wniosków. Opozycja też tu śpi, a sam Trybunał uczestników postępowania nie monituje i nie „pogania”, wychodząc z założenia, że jest to ich ustawowy obowiązek.

Przy tym tempie pisania czy bojkotowania odpowiedzi wątpliwe jest, aby prezes Rzepliński przed upływem swej kadencji (21 grudnia) zdążył przewodniczyć składom TK rozpatrującym powyższe wnioski. Zwłaszcza że procedura prac TK przewiduje jeszcze dość długie inne obligatoryjne terminy dalszego procedowania.

M.H.

Jedynka = Trójka

Jedynka zanotowała najniższy wynik w historii badań słuchalności radia w kraju. Jej udział w rynku to obecnie 8,4 proc., po spadku 1,4 proc. – największym w zestawieniu Radio Track Millward Brown. Program 1 Polskiego Radia zajął trzecie miejsce, po Radiu Zet i RMF FM (obie stacje z wynikami 13,9 proc. i 25 proc. zanotowały wzrost odpowiednio o 0,3 proc. i 0,7 proc.).

Dyrektor Jedynki Rafał Porzeziński uważa chyba, że to naturalna tendencja, bo „w tak dużym, skomplikowanym i od 15 lat tracącym słuchaczy radiu trudno o natychmiastowe zmiany na lepsze” – komentował dla Virtualnedia.pl. Od marca w Jedynce obowiązuje jednak przyjęta przez niego nowa ramówka. Kamil Dąbrowa, który przez pięć lat kierował wcześniej anteną, ocenia, że zbyt proste byłoby tłumaczenie tak słabego wyniku tylko upolitycznieniem przekazu i, parafrazując Jacka Kurskiego, zakładaniem, że „ciemny lud tego nie kupił”. Dąbrowa zwraca uwagę na coś, o czym mówi teraz też Porzeziński: dla publicznego nadawcy wydającego 10 razy mniej od prywatnych rozgłośni na promocję anteny i odbiegającego od formuły muzyka plus serwis informacyjny ważny jest też badany czas słuchania anteny. A ten ma według Porzezińskiego utrzymywać się na dobrym poziomie. W paśmie godz. 16.00–18.00 słuchalność, już po zmianach, ma w badaniach nawet wzrosnąć. Tylko że te godziny, w których wracający z pracy i tak włączają radio w aucie. W zestawieniu Radio Track wyrównały się też wyniki słuchalności Jedynki z Trójką (8 proc. udziałów w rynku). To musi być dla radiowców dużo bardziej niepokojące, takiej sytuacji nie było nigdy – różnica między antenami zawsze była wyraźna i wynosiła od 2 do 4 proc. U.S.C.

TYDZIEŃ W POLITYCE WEDŁUG PARADOWSKIEJ



CBA czuwa

CBA szeroko zarzuciło sieci. Operacja jest polityczna, ma osłabić samorząd, którego PiS nie lubi, bo ceni władzę silnie scentralizowaną.

Wszystkie ręce na pokład – to nowe hasło dobrej zmiany PiS. Przydadzą się zwłaszcza ręce funkcjonariuszy CBA, którzy wielką gromadą ruszyli na urzędy marszałkowskie, by kontrolować wydawanie funduszy unijnych w czasie rządów koalicji PO-PSL. Po nieudanym audycie centrum przyszedł czas na województwa. Bo urzędy marszałkowskie to łakomy kąsek. Mają wielkie pieniądze i poza jednym, podkarpackim, są w rękach koalicji PO-PSL. W dodatku nic nie zapowiada, by ten stan miał się zmienić. A to już zniewaga dla partii, której przecież „suweren” powierzył los narodu. Działacze w terenie w kampanii się napracowali, a posady dostają tylko tam, gdzie wojewoda lub inny zwierzchnik centralny może coś dać. Tak poszły w pisowskie ręce rolnicze agencje, z których przegnano ludowców. To jednak nic w porównaniu z zasobnością urzędów marszałkowskich, zarówno pod względem stanowisk, jak i pieniędzy, zwłaszcza unijnych, których nie dzielą, niestety dla PiS, wojewodowie. Był pomysł, aby to oni je dzielili, ale niestety kontraktów regionalnych nie da się już renegocjować i dużą kasę można stracić.

Cel operacji jest więc jasny i wyłącznie polityczny. Dziś CBA powinno chronić przed korupcją odbywające się przetargi, nadzorować prowadzone inwestycje, bo takie są jego zadania, a nie bawić się w badania nieco archeologiczne.

Tym bardziej że w sprawie wykorzystania funduszy jest raport NIK i to raczej pochlebny, co izbie tej rzadko się zdarza. Nie ma żadnych konkretnych podejrzeń, że akurat w funduszach unijnych rozpleśnia się korupcja, nie ma nawet zbyt wielu donosów, zazwyczaj towarzyszących rewolucyjnym zmianom. Są Regionalne Izby Obrachunkowe, można raz jeszcze poprosić o sprawdzenie NIK. Kontrole nie zabraknie. Rzecz jednak w tym, że ani do NIK, ani do RIO PiS zaufania mieć nie może. Może mieć zaufanie wyłącznie do swoich, a swoi są w CBA. Ta służba powstała na zamówienie PiS, na potrzeby tej partii została ukształtowana i funkcjonariusze partyjni nią dowodzą. Można się więc spodziewać, że zadanie wykonają. Ile będzie najpierw przecieków z pomówieniami, a potem aktów oskarżenia, które napiszą prokuratorzy ministra Ziobry? Zapewne dużo. I pewnie będą byle jakie, tworzone na bieżące, polityczne zapotrzebowanie. Tak się jakoś składało, że akty oskarżenia powstające z inicjatywy ministrów Kamińskiego i Ziobry nie broniły się w sądach. Natomiast sam Kamiński i jego koledzy dowodzący dziś CBA popadli w potężne kłopoty, z których ratować ich musiał sam prezydent Duda, co nie najlepiej wypadło. Nic nie wskazuje, by dziś mogło być inaczej.

Operacja jest polityczna, ma generalnie osłabić samorząd, którego PiS nie lubi, bo ceni władzę silnie scentralizowaną. Może doraźnie przeciągnąć jakichś radnych na stronę PiS, aby odbić kilka sejmików, może być przygotowaniem do przyspieszonych lub nawet odbywających się w terminie wyborów samorządowych. Ten ostatni scenariusz wydaje się najbardziej prawdopodobny. Można przecież dwa lata grzebać w papierach, od czasu do czasu podrzucając jakieś „sensacje”, by przed wyborami rzucić stertę oskarżeń, jaka to wielka patologia i jak bardzo sejmiki, do których, pamiętajmy, wybory zdaniem PiS sfałszowano, o czym sam Andrzej Duda, jeszcze jako eurodeputowany, donosił do Brukseli, potrzebują dobrej zmiany.

PiS już od objęcia władzy kombinuje, co by zrobić, aby zdobyć szczybel wojewódzki. Najpierw sugerowano nowy podział terytorialny obejmujący kilka województw, głównie mazowieckie, bo to dawało szansę ustanowienia nowej władzy w Warszawie.

Tu obecność Hanny Gronkiewicz-Waltz na stanowisku prezydenta po prostu rani serce Jarosława Kaczyńskiego i utrudnia spełnienie wielkiej obietnicy, że w stolicy na Krakowskim Przedmieściu staną dwa smoleńskie pomniki, w tym najważniejszy – Lecha Kaczyńskiego. Na razie powstała wyjątkowo szpetna, w dodatku nielegalnie postawiona, tablica przed Urzędem Wojewódzkim. To symbolicznie pokazuje skalę wyzwania. Gdyby władza samorządowa była w rękach PiS, wojewoda nie musiałby chyłkiem, pod osłoną nocy, ustawiać tablicy, a żaden samorząd nie podejmowałby uchwały, że będzie respektować wyroki Trybunału Konstytucyjnego, wzmacniając tym samym front obrońców TK i państwa praworządnego. Prezydent Poznania (powinien być oczywiście z PiS, a nie jakiś lewak) nie ośmieliłby się dyskutować z ministrem Macierewiczem, jak ma wyglądać apel poległych upamiętniający wydarzenia czerwcowe z 1956 r. W apelu jak nic znaleźliby się bez protestów „polegli na polu chwały” pod Smoleńskiem, usuwając w cień zabitych robotników. Gdyby...

Przykłady można mnożyć i dlatego potrzebne jest nowe przyspieszenie. Zdobyta dotychczas władza jeszcze nie satysfakcjonuje. Można port w Świnoujściu nazwać imieniem Lecha Kaczyńskiego, ale co to za „pole chwały”? Port budowały kolejne rządy, najwięcej rząd Tuska, pierwszy statek wprowadzała do niego premier Kopacz i doklejanie dziś do tej inwestycji nieżyjącego prezydenta mało przystoi. Tym bardziej że liczne inicjatywy nazywania ulic, mostów, skwerów, szkół i innych obiektów jego imieniem jeszcze bardziej społeczeństwo dzieli i prowokują polityczne awantury.

Jednak w czasie kiedy obowiązuje hasło: wszystkie ręce na pokład, jedna para rąk jakby wyłamała się ze zwartego szyku. Sędzia Piotr Pszczołkowski, nominat PiS do Trybunału, ogłosił i podpisał wyrok Trybunału Konstytucyjnego, wyraźnie podkreślając, że ogłasza wyrok w imieniu Rzeczypospolitej, a nie jakąś tam opinię pań i panów zebranych przy ciasteczkach i przy kawie. Wprawdzie sędzia tradycyjnie złożył zdanie odrębne, podobnie jak jego pisowska koleżanka sędzia, ale jednak uznał, że to jest wyrok, a tym samym powinien zostać opublikowany. Rzeczniczka PiS Beata Mazurek nic nie zrozumiała i była oburzona, wicemarszałek Terlecki zrozumiał tyle, że sędzia Pszczołkowski stanął po niewłaściwej stronie. Konsternacja była spora i kto wie, czy w szeregach partii nie narodziła się myśl, że nawet swoim nie można ufać? Że jednak te opinie Komisji Europejskiej, Rady Europy, która nie zostawiła suchej nitki na ustawach o prokuraturze czy inwigilacyjnej (a jeszcze pospiesznie przyjęto antyterrorystyczną, „domykając” państwo stanu prawie wyjątkowego) i zgłosiła zasadnicze zastrzeżenia co do przestrzegania praw człowieka w Polsce, mogą mieć znaczenie i wpływać na opinię publiczną czy zachowania poszczególnych osób.

Może to nie jest akurat przypadek sędziego Pszczołkowskiego, który najwyraźniej chciał mieć ciastko i spróbował je zjeść, ale w partii tak pełnej podejrzliwości, tak podporządkowanej liderowi i kulturowej spiskowej teorii, takie myśli łatwo mogą się rodzić. Bo że Europa się na PiS zawzięła, nie ma wątpliwości, nawet o wyćinki w Puszczy Białowieskiej się czepiają, tak jak przed laty czepiali się o dolinę Rospudy. Że opozycja jest na obcych usługach, też wiadomo, wszak ciągle się jej powtarza, że jest targowicą. Proces rewolucyjny jednak trwa, a rewolucja w końcu lubi pożerać także własne dzieci. CBA pod ideowym nadzorem Mariusza Kamińskiego czuwa. O tym w PiS też muszą pamiętać.

Przeczytaj, zanim wyszycisz 13 zł



Rafał Woś

Rząd podbija stawkę i proponuje, by od stycznia godzinowa płaca minimalna wynosiła 13, a nie, jak ustalono wcześniej, 12 zł. Wiem, że pokusa, by wyszycić tę polityczną licytację, jest duża.

W nabraniu dystansu pomoże nam jednak na przykład lektura opublikowanego w tych dniach raportu Międzynarodowego Funduszu Walutowego (a więc instytucji, której nie można oskarżyć o bycie częścią maszyny pisowskiej propagandy). Rozważywszy wszystkie za i przeciw, MFW nie pozostawia wątpliwości: podwyższanie płacy minimalnej w Europie Środkowo-Wschodniej było całkiem dobrym pomysłem! A to dlatego, że wykształcone tu w wyniku transformacji rynki pracy nie działały optymalnie. Stało się bowiem tak, że pracodawcy uzyskali na nich zbyt mocną pozycję i stali się tzw. monopsonami. Monopson to jakby odwrotność monopolu. A więc sytuacja, w której na towar (w tym wypadku pracę) istnieje tylko jeden odbiorca. W efekcie pracownik (zwłaszcza ten słabiej wykwalifikowany) ma słabą pozycję negocjacyjną i łatwo staje się ofiarą wyzysku. Z taką potęgą pracodawców można i trzeba walczyć. Choćby płacą minimalną albo sprawną siecią państwa opiekuńczego.

Ale MFW zauważył coś jeszcze. W krajach naszej części Europy samo podnoszenie nominalnej płacy minimalnej nie wystarczy. Słabość instytucji sprawia bowiem, że łatwo można to rozwiązanie obejść. I dokładnie to zdarzyło się u nas w Polsce. Nastąpił rozkwit umów śmieciowych, których płaca minimalna nie obejmowała. Dlatego ruch PiS w postaci stawki godzinowej jest sensowny (bo obejmuje również część umów cywilnych). Zwłaszcza że w parze z nim ma

iść wzmocnienie Państwowej Inspekcji Pracy. Oby nie tylko na papierze.

Można oczywiście zapytać, czemu akurat 13 zł, a nie od razu 20 albo 30? 13 zł stawki godzinowej to mniej więcej optimum tego, na co stać obecnie polską gospodarkę. W przeliczeniu na pensję miesięczną oznacza bowiem 2080 zł. Czyli trochę więcej niż płaca minimalna dla etatowców, która wzrośnie od stycznia do 2000 zł. Ta różnica to nic innego, jak postulowana od dawna przez wszystkie związki zawodowe niewielka premia za większą elastyczność i mniejszą pewność zatrudnienia dla osób na umowach cywilnych. Jednocześnie nie aż tak wyśrubowana, by puścić z torbami przedsiębiorców (po podwyżce polska płaca minimalna w relacji wobec średniej płacy wyniesie 47 proc. i zacznie wreszcie chwytać kontakt z przyzwoitą unijną średnią). Poza tym polscy pracodawcy i tak nie mają powodów do narzekania. Zwłaszcza patrząc na to, co się dzieje w innych rozwiniętych gospodarkach. Na przykład w USA od kilku miesięcy trwa bezprecedensowa licytacja między stanami. Rekordziści z Kalifornii uchwalili właśnie stopniowe podwyższanie płacy minimalnej z dzisiejszych 10 dol. do 15 w 2022 r.

Jest jeszcze jeden – już bardziej ogólny – argument. Przez wiele lat w przestrzeni publicznej panowało przekonanie, że niskie płace gwarantują konkurencyjność polskiej gospodarki. Niestety łatwo zapominaliśmy o drugiej stronie medalu – np. o innowacyjności, której tak bardzo nam jednak brakuje. Bo dotąd było przecież tak, że polskim przedsiębiorcom innowacyjność się po prostu nie opłacała. Całą przewagę komparatywną i tak przecież czerpali z relatywnie taniej (a jednocześnie dość dobrze wykwalifikowanej) siły roboczej. Literatura ekonomiczna opisuje, że rewolucja przemysłowa (a więc największy wykwit innowacyjności w historii) nieprzypadkowo zaczęła się na Zachodzie, gdzie praca była już wtedy droga. A nie na Wschodzie, gdzie koszty pracy (pańszczyzna) były bliskie zeru.

Uniwersytet czy akademia?

Do końca czerwca 2020 r. uczelnie mają czas, by dostosować swoje nazwy do przepisowych wymogów. Gdyby nie nowelizacja, którą przyjął Senat, uczelnie musiałyby do 30 czerwca 2016 r. dostosować swoje nazewnictwo do obowiązujących przepisów Prawa o szkolnictwie wyższym. Chodzi o możliwość używania w nazwie uczelni wyrazów takich jak: „uniwersytet”,

„uniwersytet techniczny”, „uniwersytet przyrodniczy”, „politechnika” czy „akademia”. Prawo do konkretnych nazw wiąże się z koniecznością posiadania przez jednostki uczelni określonej liczby uprawnień do nadawania stopnia naukowego doktora – w ustalonych dziedzinach wiedzy. Wśród uczelni, które nie spełniają ustawowych wymogów, są: Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Uniwersytet w Bydgoszczy, Uniwersytet Rzeszowski, Uniwersytet Szczeciński i Uniwersytet w Białymstoku, a także Katolicki Uniwersytet Lubelski. M.Z.



Od **60. lat** Patron
Polskiego Sportu



Sponsor Generalny
Polskiego Komitetu Olimpijskiego





© REUTERS/FORUM (2)

Efekt Cox

Morderca parlamentarzystki zmienił nastrój społeczny wokół Brexitu.

Brytyjski system polityczny, oparty na jednomandatowych okręgach wyborczych, ma swoje słabe strony. Ale jak żaden inny nie zbliża wyborców do polityków, co mogło ostatecznie zdecydować o wyniku czwartkowego referendum w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z UE.

Parlamentarzystka Jo Cox zginęła w zeszłym tygodniu, wychodząc z „przychodni poselskiej”. *Surgery*, jak nazywają Brytyjczycy dyżury poselskie, to właśnie podstawowy element brytyjskiego systemu. Posłowie w całej Europie, również w Polsce, próbują naśladować to rozwiązanie. Ale nigdzie nie ma ono takiego znaczenia jak na Wyspach. Brytyjski poseł przede wszystkim ma pełnić funkcję lekarza rodzinnego. Tradycyjnie co piątek można do niego przyjść i położyć się na każdy temat – od sprzeczki z sąsiadem po brytyjską politykę wobec Chin. Drzwi są otwarte „do ostatniego klienta”. Bywają to sprawy beznadziejne, przynoszone przez ludzi z marginesu, którzy często nawet nie wiedzą, do jakiej partii należy ich poseł – reprezentuje ich, więc powinien pomóc.

Ta bliskość jest też zagrożeniem. Na 239 posłów przepytanych przez „Guardiana” 192 doznało agresji podczas *surgery*, 43 padło ofiarą fizycznego ataku. Zdarzały się ciosy w twarz, uderzenie cegłą, a nawet pogroźki pod adresem rodziny. Ale nigdy agresja nie posunęła się tak daleko jak w przypadku posłanki Cox.

Brytyjczycy cenią tę otwartość swoich przedstawicieli. Według sondażowni YouGov przychodnie poselskie są najbardziej docenianym elementem ich pracy. Dlatego obok nacjonalistycznego podłoża ataku na Cox Brytyjczycy masowo wskazali na to, że posłanka zginęła po czterech godzinach rozwiązywania wielkich i błahych problemów obywateli. W sondażu przeprowadzonym już po jej śmierci pierwszy raz od wielu miesięcy trend w sprawie Brexitu odwrócił się i zwolennicy pozostania w Unii znów przeważali trzema punktami. Efekt Cox?

Ciężkie znaki

Islandia była zmuszona wzmocnić swoje znaki drogowe – od teraz są znacznie cięższe (tak by przenoszenie ich w rękach sprawiało problemy) oraz mocowane do słupów za pomocą śrub, których nie da się odkręcić podręcznymi narzędziami. Niecodzienne środki bezpieczeństwa mają ukroić plagę kradzieży, jakich dopuszczają się turyści. Wiele lokalnych tablic, szczególnie na prowincji, przedstawia scenki rzadko spotykane w innych krajach, stąd ich wartość kolekcjonerska. Wśród nielegalnie wywożonych pamiątek znaleźć można więc samochód terenowy wjeżdżający do rzeki (znak informuje, że pomimo trasy dochodzącej do brzegu dalej nie ma mostu), dwa auta jadące prosto na siebie (to znak informujący o wzniesieniu i ograniczonym polu widzenia) lub sylwetkę człowieka kąpiącego się obok termometru (gorące źródła). W zamian można będzie zabrać do domu na pamiątkę promowane przez zarząd dróg magnesy na lodówkę z podobnymi scenkami rodzajowymi.



© EAST NEWS (2)

Frankoterror?

Islamski terror ma wiele wspólnego z francuską kulturą polityczną – taką kontrowersyjną tezę postawili analitycy z amerykańskiego think tanku Brookings Institution. W swoim najnowszym tekście Will McCants i Chris Meserole wykazują, że na wojnę do Iraku i Syrii najwięcej islamistów wyjeżdża z krajów frankofońskich lub przynajmniej będących pod wpływem francuskiej kultury (chodzi o odsetek w stosunku do sunnickiej populacji w danym kraju).

McCants i Meserole do sprawy podeszli metodycznie. Porównali ponad tysiąc zmierzających z badanego kraju z odsetkiem dżihadystów i wyszło im, że z pięciu najpopularniejszych państw pochodzenia cztery to kraje frankofońskie, w tym dwa z Europy (Francja i Belgia). Oczywiście nie

każdy zradyzalizowany islamista wyjeżdża na wojnę i nie każdy wyjeżdżający to radykał. Ale analitycy porównali m.in. takie kategorie, jak bezrobocie wśród młodych, poziom urbanizacji, i okazało się, że frankofońska korelacja jest ponad dwa razy mocniejsza od jakiegokolwiek innej.

Amerikanie przyznają, że to tylko hipoteza, ale też proponują następujące wytłumaczenie: kraje frankofońskie przestrzegają radykalnego rozdziału religii i państwa – zasady *laïcité*; wykluczenie religii z tożsamości wyklucza jednocześnie wielu muzułmańskich imigrantów, np. poprzez zakaz noszenia chust, obowiązujący w zasadzie tylko w krajach frankofońskich. Stąd radykalizacja. Francuski ambasador w USA Gerard Araud napisał na Twitterze, że ta hipoteza to „obraza dla inteligencji”.



Make war not love

Bułgarzy znów zarabiają na broni.

Bułgarskie fabryki broni pracują jak za dobrych lat zimnej wojny – tyle zamówień co dziś nie miały od upadku komunizmu. Jeden tylko zakład produkcji granatów w pierwszych trzech miesiącach tego roku wyprodukował ich więcej niż w 2014 r. Do lat 90. w lokalnym, słynnym w całym bloku wschodnim, przemyśle zbrojeniowym pracowało 115 tys. osób, a dziś przy taśmach pozostała już tylko co dzieśiąta. Ale głównie z powodu wojny w Syrii ostatnia niesprywatyzowana fabryka broni po raz pierwszy od trzech dekad ogłosiła nabór pracowników.

Wszystko z powodu toczonych na Bliskim Wschodzie konfliktów: Stany Zjednoczone oraz Arabia Saudyjska kupują w Bułgarii lekkie uzbrojenie w stylu sowieckim, które potem trafia w ręce syryjskich rebeliantów. Przy najmniej teoretycznie, bo organizacje pozarządowe alarmują, że przy bojownikach tzw. Państwa Islamskiego również znajdowano produkty bułgarskiego przemysłu zbrojeniowego. Poza obrońcami praw człowieka popularność broni znad Morza Czarnego martwi hodowców róż. W regionie na wschód od Sofii kwiaty są równie ważną częścią gospodarki jak karabiny, a wielcy plantatorzy boją się teraz, że nie znajdą wystarczająco dużo chętnych do letnich zbiorów, bo ci wybiorą raczej zbrojeniówkę.



Bojowe Lego

W ciągu ostatnich 30 lat klocki Lego się zbrutalizowały. Duńczycy produkują je od 1949 r., ale dopiero w 1978 r. w zestawie z zamkiem pojawiły się miecze, halabardy i lance. W 1989 r. wprowadzono zestawy z piratami, w których były pistolety i armaty. Potem na rynku pojawiła się seria Lego Bionicle z postaciami różnych bojowników i zestawy Star Wars. I w ten sposób, według dogłębnej analizy badaczy z University

of Canterbury, odsetek zmilitaryzowanych kolekcji Lego wyniósł niedawno już 30 proc. Katalogi promocyjne, po które sięgają najmłodsi, też obfitują w przemoc. Podobnie jak powiązane z klockami gry wideo. Pokazywanie w nich przemocy fizycznej rocznie zwiększa się o 19 proc. Wzrosła też liczba gestów, które świadczą o wymuszaniu uległości, zastraszaniu i naruszaniu praw człowieka.

Przedstawiciele firmy twierdzą, że ich zabawki nie propagują przemocy, tylko przedstawiają konflikt, który ma też przebieg – jak podkreślają – walor edukacyjny, ponieważ uczy dzieci rozwiązywania problemów. Nowe zestawy Lego są również odzwierciedleniem przemocy w innych polach popkultury. I to ponoć same dzieci domagają się takich zabawek. Żeby sprostać konkurencji, firma musiała przystąpić do metaforycznego wyścigu zbrojeń. Choć jej rzecznik twierdzi, że Lego wciąż jest przeciwna przemocy i podkreśla, że czerwoną linią, której nigdy nie przekroczy, są zabawki przedstawiające prawdziwą wojnę.

Sawczenko na prezydenta!

Najpopularniejsza Ukrainka szybko wsiąka w politykę.

Nadia Sawczenko jest dziś na Ukrainie bardziej popularna niż prezydent Petro Poroszenko. Tak wynika z sondy dla rosyjskiej opozycyjnej „Nowej Gazety”. Sama Sawczenko przed porwaniem do Rosji nie myślała o polityce. Studiowała projektowanie, potem przerwała naukę i zaciągnęła się do armii, gdzie została pilotem. Nawet w zeszłym roku, kiedy trafiła do parlamentu z list Batkiwszczyny, czyli partii Julii Tymoszenko, wszystko wydarzyło się jakby poza nią – pierwsze miejsce na liście oddała jej była pani premier, i w kraju zorganizowała za nią całą kampanię, którą bohaterka oglądała tylko zza krat.

Teraz jednak Sawczenko szybko wsiąka w politykę. Jako deputowana zamierza jeździć po europejskich stolicach i opowiadać, co dzieje się na Ukrainie. Jest też delegatką Ukrainy do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. A o tym, że zostanie prezydentem, jeśli tylko Ukraińcy będą tego od niej oczekiwali, powiedziała na konferencji prasowej zaledwie kilka dni po uwolnieniu. Niedługo potem skrytykowała też mińskie porozumienie pokojowe, co stawia ją w opozycji wobec prezydenta Poroszenki. Przyznaje, że żadnego doświadczenia w polityce nie ma ani w gospodarce i w stosunkach międzynarodowych. „Nigdy nawet nie jeździłam po Europie. Za granicą byłam tylko w czasie wojny w Iraku i w więzieniu w Rosji” – wyznaje. Jednak dla Ukraińców jest dziś żywą legendą i symbolem walki o niezależność kraju. Co przy obecnym poziomie niechęci wobec działających polityków może wystarczyć do wielkiej politycznej kariery.



Mgła nad kanałem

Brytyjczycy nigdy nie czuli
– bez względu na jego



© REUTERS/FORUM

się blisko związani z Europą. Ale postawieni przed wyborem w referendum wynik – mentalnie jeszcze dalej od niej odpłynęli.

MAREK OSTROWSKI, ADAM SZOSTKIEWICZ

A

nglicy mieszkają na wyspie niepodbitej od ponad tysiąca lat. Ostatni raz ulegli inwazji w 1066 r. po bitwie z Normanami pod Hastings. Co mogłoby ich skłonić, aby polubili Europę? Cyniczny historyk odpowiada: Hitler musiałby podbić i okupować Anglię w 1940 r.

Ten ponury żart przytacza były brytyjski minister Denis MacShane, autor kassandrycznej książki „Brexit. Jak Brytania opuści Europę”. Bo z Europą Anglicy nie mają pozytywnych skojarzeń.

Anglicy są – jak się mówi – insularni, wyspiarscy. Wystarczy przypomnieć, że kanał oddzielający Wyspy Brytyjskie od Europy kontynentalnej, który my nazywamy kanałem La Manche, oni nazywają Kanałem Angielskim. W czasach bez samolotów i tunelu kolejowego mgła nad kanałem powodowała komunikat: „Kontynent odcięty”. Przez stulecia polityka zagraniczna Foreign Office polegała na sprzyjaniu równowadze sił na kontynencie – między Francją, Niemcami i Rosją. Anglicy wobec kontynentu byli jakby graczem z zewnątrz. I z poczuciem wyższości, a w każdym razie wyjątkowości. Cała Europa padła pod Hitlerem; do 1941 r. Rosja była jego sojusznikiem, USA się jeszcze nie włączyły do wojny, a Anglia walczyła samotnie, niezwyknięta.

Pamięć o historii jest częścią tożsamości narodów. Anglicy mają średniowieczną Wielką Kartę Swobód (Magna Charta Libertatum), ograniczającą absolutną władzę monarchy nad poddanymi. To duma dzisiejszej Brytanii: załączek demokracji parlamentarnej i swobód obywatelskich. Anglicy nigdy nie pokochają Parlamentu Europejskiego i nigdy nie uznają, że 700 lat historii ich parlamentu ma schodzić powoli na drugi plan. Żywią przekonanie, że to ich własny kraj jest pionierem demokracji w świecie zachodnim, łatwo ulegają pokusie, by odnosić się protekcyjnie do innych narodów, które na drogę demokracji wkroczyły później, jak choćby Francuzi czy Niemcy.

Dumą narodową podbija także wspomnienie o największym w historii Imperium, które stworzyli Brytyjczycy. Jeden z bohaterów filmowego dokumentu angielskiego dziennikarza Martina Durkina, zachęcającego do wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, mówi w pewnym momencie, że historia angielska jest historią piratów i nic dziwnego, że Anglicy tęsknią za wolnością. A ich pojęcia wolności nie da się pogodzić z biurokracją brukselską i jej manią regulowania nie tylko gospodarki, ale i spraw społecznych.

Francuski prezydent Charles de Gaulle w latach 60. postawił weto brytyjskim staraniom o członkostwo w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, bojąc się, że Londyn będzie w Europie koniem trojańskim Waszyngtonu. Francja cofnęła weto po upadku de Gaulle’a i Zjednoczone Królestwo zostało członkiem Wspólnoty w 1973 r., ale poprzez traktat, nie przez referendum. Ówczesna lewica brytyjska – bardziej podzielona w sprawie europejskiej niż dzisiaj – chciała mieć jednak silniejszą legitymację społeczną dla swej proeuropejskiej polityki i zarządziła ogólnokrajowe głosowanie. Podobnie jak obecny premier David Cameron, który rzucił hasło referen-

dum, by wygrać wybory i uniknąć rozłamu we własnej partii na tym tle.

Rzecz była wówczas bezprecedensowa, referendum jest obce angielskiej myśli konstytucyjnej; obywatele w referendum są jak dzieci z zapalkami, posłowie muszą być mądrzejsi niż lud. Model brytyjski zakłada bezwzględne zwierzchnictwo parlamentu, w którym – a nie w pałacu królewskim, jak w innych krajach – stoi brytyjski tron. Wtedy, w 1975 r., wyszło zdecydowanie na „tak” (67:33). Dziś piszemy ten artykuł, nie znając wyniku, ale z obawą przegranej. W sondażach zwolennicy pozostania w Unii (obóz Bremain) ustępują zwolennikom wyjścia z niej (Brexit). Nie wiadomo, jak na wyborców wpłynie absurdałne zabójstwo laburzystowskiej i proeuropejskiej posłanki, 41-letniej Jo Cox, takie akty czasem budzą świadomość głosujących. Ale tak czy inaczej, rząd Camerona podjął wielkie ryzyko, które może dużo kosztować Wielką Brytanię i całą naszą Unię. Tym razem w razie przegranej establishment, przynajmniej teoretycznie, może zignorować wolę ludu i w parlamencie nie zatwierdzić wyników referendum. Jednak nacisk wyborców – w epoce rozbuchanego populizmu – może się okazać silniejszy niż tradycja prawna.

W kampanii Krajowa Komisja Wyborcza wskazała dwa oficjalne sztaby; otrzymały one publiczne dofinansowanie – po 600 tys. funtów. Limit wydatków wynosił 7 mln funtów. Na czele kampanii przeciw wyjściu – pod hasłem „Brytania silniejsza w Europie” – stał biznesmen lord Stuart Rose, wnuk rosyjskich emigrantów, którzy uciekli przed bolszewikami, były szef znanej sieci sklepów detalicznych Marks and Spencer. Wspierali go zarówno premier Cameron, jak i lider opozycyjnej Partii Pracy Jeremy Corbyn. Szkocka Partia Narodowa prowadziła odrębną kampanię przeciw wyjściu. Wśród darczyńców kampanii Bremain był potentat rynku supermarketów, laburzysta lord Sainsbury, który ofiarował 2,3 mln funtów.

Kampanię antyunijną – „Głosuj za wyjściem” – wspierali m.in. obecny minister sprawiedliwości Michael Gove (Cameron w obawie przed rozłamem w partii zwolnił członków swego rządu z lojalności w kwestii referendum; kilkoro z nich jest za Brexitem, większość za Bremainem) i były mer Londynu Boris Johnson. Postać charyzmatyczna, lecz niestroniąca od brutalnej demagogii. W maju zarzucił Unii Europejskiej, że jest głęboko niedemokratyczna i porównał ją do innych prób nieudanych unifikacji Europy – od Rzymian, przez Napoleona, do Hitlera.

Największą donację kampania „Brexit” – pół miliona funtów – otrzymała od przedsiębiorcy Patrika Barboura, który od dawna wspiera konserwatywne, antyeuropejskie think tanki. W kampanię za Brexitem włączyły się m.in. stowarzyszenie Muzułmanie za Brytanią, grupa antyunijnych gejów i zrzeszenie producentów rolnych, choć ci korzystają z unijnych pieniędzy. Pomieszenie z pomyleniem? Tak, skoro porównanie UE z zamiarami Hitlera uchodzi na sucho politykowi aspirującemu do premierostwa kraju, to znak, że świat zwariował.

Zwolennicy Brexitu hołdowali cynicznej regule kampanii politycznych: mniejsza o logikę – liczą się emocje. Tabloidy gremialnie sprzyjały Brexitowi, a ich argumentacja nie zmienia się od lat. Jeśli jej wierzyć, to Unia zmusiłaby w końcu Brytanię do porzucenia funta szterlinga, zatrudniania ateistów nauczycieli w szkołach prowadzonych przez Kościół anglikański, whisky sklasyfikowała jako płyn łatwopalny, żołnierzom ►